Pani Sikora już nie zaparzy miętowej herbaty

mojej aroniowej babci

Nie było w nich nic z piękna. Dużo mieli za to z brzydoty. Krzywe nosy, łudząco przypominające parchate, nieumyte kartofle. Pożółkłe zęby, odpychająco wybrakowane, jakby sine. Twarze zaś w bruzdach, w burgundowych naciekach. Twarze nieciekawe, zniszczone. Takie, od których odwraca się wzrok, przemykając przez rynek w środowe poranki i sobotnie wieczory. Choć czasem chciałoby się zawiesić oko, popatrzeć, może pozazdrościć. Przejrzeć się w przekrwionych oczach, dostrzec w nich zielone pastwiska, morską bryzę, żyzną glebę.

W tamtych też nie było nic z piękna, ale i z dobra. Dużo jednak ze wstrętu. Ciała rozlane, wypływające spod warstw wysłużonych tkanin. Biusty niekształtne, błądzące między obwisłymi pachami a wiszącym brzuchem. Dłonie wyniszczone, pełne starczych plam, zmarszczonych strużek. Dłonie, których nie podaje się na przywitanie, dłonie, których nie wyciąga się na pożegnanie. Choć czasem ktoś mógłby ścisnąć, nawet zbyt dziarsko, spojrzeć przy tym prosto w opadnięte już dawno temu powieki. Dostrzec poniżej nich blask tafli wody, lśnienie wschodu, błysk minerałów.

I jeszcze one. Nie myśli się o pięknie, patrząc na ich ciała. Na myśl przychodzi raczej odraza. Skrzydła pełne kurzu ulicy, stopy pozbawione palców i te głuche szepty. W ich stronę najłatwiej jednak rzucić okruch, skrawek chleba rzucić. Podejść, podbiec, ruszyć. Tylko do nich. Kiedy i ci o sinych zębach, i te o wyniszczonych dłoniach wygrzewają się w blasku złotych promieni, licząc schody ratusza albo okna ewangelickiego Kościoła, i tak najwięcej z człowieka mają te ptaki o ubrudzonych piórach.

W złocie poranka, miedzi popołudnia i stali wieczorów nie zwracają na siebie uwagi. Nie chcą jej. Ciągną niewydolnymi stopami między Zamkową, a Stelmacha i z powrotem. Odbijają się w idealnie wypolerowanych szybach Delikatesów, patrząc łapczywie w stronę szklanych kwadratów, usypanych z kolorowych landrynek. Łakną odrobiny szczęścia i dobrej woli losu, szukając wolnej ławki na Placu Wolności. Myślą o smaku bombonów, które ostatnio mieli w ustach więcej niż pół wieku temu.

I choćby starali się najmocniej i najwytrwalej, w oczach innych będą co najwyżej „Szalonym Edkiem”, „Podpitym Mieciem” czy „Ogorzałą Zytą”. Nikt nie docieka i nikt nie przypuszcza, że ich akty urodzenia zdobią imiona najświętszych apostołów.

*

Późnym latem dni pachną praniem. Najbardziej czuć to na ulicy Miarki. Wraz ze wschodem słońca luzują się tam okiennice i koronkowe firany ruszają do zalotnego tańca. Wirują, głaszcząc powietrze, by chwilę później opaść z powolnym podmuchem leniwego wiatru. Jest w nich mnóstwo gracji i wdzięku. Kilka minut po szóstej zza topornych drzwi wychylają się, posępnie spoglądające koty. Minie chwila, zanim wystawią pyszczki zza futryny. Na razie karmią się spokojem traktu, na którym na marne szukać jakiegokolwiek przechodnia. W końcu w tych wszystkich łóżkach podnoszą się siwe brwi i unoszą pergaminowe powieki.

Pani Sikora umiała się ubrać i postawić dobrą wódkę na stół. Była kobietą elegancką i jak to mówili, dystyngowaną, jak na swoje czasy, jak i wszystkie te, których nie przeżyła i te, których nie doczeka. Szczupła i bardzo wysoka o paznokciach wypiłowanych i pociągniętych perłowym odcieniem brzoskwini. Włosy układała w ścisły kok i tylko przednie pasma frywolnie fruwały czasem, muskając podkreślone na odcień wiśni polika. Zawsze nosiła się na czarno, ewentualnie sięgała po drobne groszki. Jej najpiękniejsza sukienka, zapinana jak fartuszek, z powlekanymi guziczkami i haftowanym, białym kołnierzykiem budziła podziw kobiet i mężczyzn.

- Kobieta nawet w najtrudniejszych warunkach powinna mieć dobre perfumy i jeszcze lepszy biustonosz – mówiła, sięgając po flakon jaśminowego roztworu. Nie szczędziła go, spryskując nadgarstki, szyję i wcierając zapach za uszy.

Młodo została matką i prawie tak samo młodo owdowiała. Nigdy nie mówiła o mężu. Tylko samotne zdjęcie skupiało wzrok gości. Brunatna ramka okalała na smutno parę ubraną na galowo. Kadr przyciągał uwagę, ale nigdy nie na tyle, by zapytać o to, co stało się z młodzieńcem o regularnych rysach. Syn odwiedzał ją z kolei rzadko, może przy okazji niedzieli, a mieszkał przecież nie tak daleko, ze dwie ulice dalej. Może dlatego Pani Sikora wpadła na pomysł, by przyjmować na stancje dziewczynki z pobliskiej szkoły.

*

Tata prowadził ją przez pole, łąkę i las. To zajmowało czterdzieści minut latem i ponad godzinę zimą. Wtedy nikt nie myślał o tym, co może stać się nocą w ciemnym gaju. Ważne, by pociąg przyjechał na czas. Tam, gdzie mieszkała Isia, dziewczyny o tak chudych nogach nie miały co robić. Ani wyjść na pole, ani młodo wyjść za mąż. Rodzice podjęli zatem decyzję, że trzeba Isię do miasta wysłać, do szkoły zapisać. „Szkoła gastronomiczna dla panien” przeczytał ojciec

w lokalnej gazecie. Nastolatka nie miała nawet czego spakować. Byleby nie zapomnieć ciepłego swetra i buziaka w czoło od mamy. Jeszcze drewnianego różańca. Są lata pięćdziesiąte, nie wiadomo, co się stanie.

Dopiero na stacji końcowej Isia dowiaduje się, dokąd właściwie się wybierali. „Tarnowskie Góry, ładnie" myśli, licząc jedynie na to, że w mieście jest kino. Nie pyta o to ojca, wie, że mógłby się zdenerwować. Do szkoły wchodzą razem, ojciec prowadzi dziewczynę za rękę. Krępa kobieta mówi, że owszem, bursa jest, ale miejsc już nie ma, że mogą iść pod Miarki 13. Może Sikorowa ma jeszcze jakiś wolny pokój. Jest między Isią a tatą, Antonim, jakiś szczególny rodzaj porozumienia. Kiedy pierwszego lipca Isia przyszła na świat, ojciec pobiegł do księdza, by prosić o termin chrztu. „Liliana" powiedział, „Liliana Musiał". Proboszcz odparł jednak, że to kocie imię, że tak dziecka nie ochrzci, a że imieniny Jana, to nazwą ją Janina. Bał się Antoni do domu wrócić i powiedzieć żonie, co się stało na probostwie. Jednocześnie jednak tak bardzo chciał uścisnąć córkę, rozpowiedzieć na wsi, że jest wyczekana dziewczynka. Choć w domu czekało już dwoje synów, to Janina była Antoniego spełnionym pragnieniem.

Kiedy weszli do kamienicy wskazanej przez sekretarkę, zobaczyli drzwi, prowadzące na dziedziniec. Nie był to jednak zwykły plac, jakich wiele na Śląsku. Miał w sobie coś z tajemniczego ogrodu. Drzewa wzrastały tam w odcieniu zdecydowanie bardziej intensywnej zieleni, a ziemia była tam tak wilgotna, mimo suszy ostatnich tygodni, że wydawało się, że zdoła na niej zakiełkować nawet kamień. Isia z ojcem przystanęli na chwilę, wpatrując się w liście zanurzone w ciepłym świetle przedpołudnia, ale po chwili ocknęli się z letargu, by ruszyć na drugie piętro. Po żwawej sekwencji pukania w drzwi pojawiła się w nich dostojna kobieta o spojrzeniu surowym, ale obliczu raczej łagodnym.

- Powiedziano nam, że możemy…To znaczy córka mogłaby, tutaj zamieszkać. Uczynna i dobra jest. Zapłacę – powiedział Antoni tak szybko, że zapomniał o „dzień dobry".

- Jak Ty się nazywasz – zwróciła się Sikorowa do dziewczyny, która oplotła dłoń ojca drobnymi paluszkami lewej ręki.

- Isia – wydukała cicho, ale grzecznie.

- Ładnie, zupełnie nie jak dla kota – odparła właścicielka mieszkania i zaprosiła dwójkę do kuchni.

*

Lubili wspominać, choć nigdy nie robili tego przy ludziach. Wspomnienia i sekrety trzymali głęboko za pazuchami obmierzłych łachmanów. Wiedzieli, że i tak nikt im nie uwierzy, że weźmie to za pijackie opowiastki. Tego bardzo nie chcieli. Mieli pewność, że to, co ich łączyło to te wszystkie ławki, na których wylegiwali się od zachodu i wschodu, a także kobieta, która pokazała im, czym jest prawdziwe dobro. Smak karmelowych cukierków, które wyciągała w tajemnicy, na odchodne. Tak wiele było w niej ze światła, którego brakowało w poszarzałej rzeczywistości.

Dni mijały im na obserwowaniu, jak słońce kładzie swój blask najpierw na zachodnią część rynku, głaszcząc wysokie stropy ratuszowej wieży. Kiedy słoneczna smuga docierała do balkonu, wieńczącego główną salę obrad, wiedzieli, że wybiła ósma rano. Potem światło, niczym na paluszkach biegło w stronę podcieni i okalających kamienic. To wskazywało czas, w którym dobrze byłoby coś zjeść, albo chociaż pomarzyć o czymś ciepłym i smacznym, jak zupa z ajnlaufem, którą czasem częstowała Pani Sikora. Zupa złocista i gorąca, taka, która syci na cały dzień i noc, po której na ustach pozostają tłuste ślady, strużki wywaru na najlepszych kościach i mięsie. Byleby jeszcze dostać po słodkiej bułce z aronią, byleby zlizać lukier z wierzchu.

Czasem dobrze było pomarzyć o łakociach, albo poduszce pod głową. Byleby niezbyt długo, bo dreszcze brały na samą myśl~~,~~ o tym, jak dobre mogłoby być życie, gdy nikt ~~nie~~ gardząco nie kręcił głową, nie pluł na buty i nie wzywał funkcjonariuszy w granatowych kubraczkach. Na nich z niesmakiem spoglądano jednak prawie codziennie, przechodzono, zatykając nos. Coraz rzadziej jednak łzy napływały im do oczu. Na twarzach wyniszczonych piekącą siłą słońca, pokrytych buraczaną barwą, pojawiała się wtedy drobna kuleczka, niby czeski koralik. Transparentna i delikatna, płynęła dostojnie i powoli, przecząc wszystkiemu, co malowało się na twarzy. Tyle było w tej kropli gracji i spokoju, choć zapowiadała zawsze to samo. Wielogodzinne wpatrywanie się w fotografię, której przecież i tak nikt nie przywróci do życia.

*

Pierwszego wspólnego wieczoru Pani Sikora przygotowała ozorki z masłem. Przepis zostawiła jej babcia Ingeborg, ta od strony matki. Isia nie była przekonana, by wetknąć widelec w kawałki mięsa, a jednocześnie czuła głód tak silny, jakby przenikał jej usta, serce i stopy. Kiedy więc dziewczyna zaczęła jeść przygotowane przez Sikorową danie, ta przedstawiła jej zasady obowiązujące na stancji. Śniadania, obiady i kolacje o stałych porach, w stałym miejscu.

Najpierw nauka. Lekcje mają być odrobione, klasówki zdane, a fartuszek zawsze uprany i czysty. W sobotnie popołudnia sprzątanie pokoju, w niedzielę msza poranna. Wolne wieczory można przeznaczyć na wizytę w kinie, byleby nie z chłopcami, bo różni się kręcą. Oprychy i gamonie. Czasem też, dobrze będzie wyjść do ludzi, ale o to zadba już Pani Sikorowa. Póki jeszcze sezon, a szkoła zaczyna się dopiero za kilka dni, trzeba będzie zbierać aronię. Zaczną jutro, zaraz po śniadaniu.

- Powiedz jeszcze, jak masz na imię w akcie chrztu – zwróciła się, kończąc monolog.

- Janina, bo urodziłam się w świętego Jana – odrzekła.

- To czemu mówią na Ciebie Isia?

- Ciocia, która się mną opiekowała, nosząc mnie na rękach, kiedy chciała mnie uspać, mówiła Janinko, Janisiu, Isiu. Tak zostało.

Po kolacji Pani Sikora pokazała, w jaki sposób myć naczynia, jakie ruchy wykonywać, przecierając stół szmatką. Po wypolerowaniu ostatniego talerza wskazała, że Isia ma założyć buty i przejściowy płaszczyk. Niebo szarzało, ale gdzieniegdzie muskały jeszcze świetlne plany w odcieniu różu. Ulica Krakowska. W blasku ostatnich sierpniowych wieczorów traktat handlowy wydawał się Isi zupełnie magiczny, jakby wyrwany z innego świata. Szyldy małych sklepików zachęcały do zaglądania na witryny sklepów. Eleganckie garsonki i niemniej szykowne garnitury o rozległych klapach. Kilka kroków później trzy garści landrynek i kosz owoców. Dla piętnastolatki otworzyły się wrota do niebios, niebios do tej pory tak niedostępnych, tak nierzeczywistych, że aż wstydziła się patrzeć. Spuszczała głowę tak, by widzieć swoje nieco wysłużone już buty, ale jednocześnie tak, by kątem oka widzieć to, co wydawało jej się tak wyjątkowe. Miasto było dla niej niewypowiedzianym marzeniem, to szczególne miasto stało się jej pragnieniem.

Pani Sikora szła dumna i wyprostowana, nie zwalniając tempa ani na sekundę. Mieszczanka z krwi kości, pamiętająca i Krakowską i Krakauernstrasse na tyle dobrze, by prychać na widok pustych lokali, które niegdyś zachwycały kunsztownym wystrojem. Gdy dotarły wreszcie na płytę rynku, Isia zadarła głowę do góry i spoglądała. Studiowała anatomię kościoła, jego strzelistą wierzżę, okrągłe okienka i łuski dachówki. Wydawało jej się, że w życiu nie widziała niczego, co piełoby się tak wysoko w górę, dla czego musiałaby zadzierać głowę tak wysoko. Opiekunka szła dynamicznie, stukając czarnym obcasem o kocie łby. By zyskać trochę na czasie, Isia schyliła się, udając, że rozwiązały się sznurówki jej wiśniowych

trzewików. Myślała tylko o jednym. Spotkanym chwilę wcześniej iluzjonie. Pani Sikora wcale nie pospieszała dziewczyny. Kątem oka wiedziała, co się dzieje. Działo się tak za każdym razem, gdy prowadziła którąkolwiek z wychowanek po raz pierwszy.

Zaszły aż pod podcienia, po których słoneczne promienie kręciły akurat piruety. Pani Sikora wartko skierowała się w stronę drzwi, otworzyła je własnym kluczem i wskazała Isi, że ma kierować się na górę. Kiedy trafiły w końcu na drugie piętro, Pani Sikora przedstawiła dziewczynie swoje dwie siostry, potem wręczyła ~~dziewczynie~~jej gazetę i zaprosiła do salonu. „Nie wszystkie kobiety w tym mieście są tak pięknee~~e,~~ jak ona" pomyślała Isia, niewinnie lustrując krewne Pani Sikory. Analizowała ich nalane twarze i nazbyt szerokie brwi. Jedyne, co dostrzegła w nich trzech, to błysk w oku i na palcach. Doliczyła się aż siedemnastu pierścionków z mniejszymi i większymi oczkami na trzydzieści palców. Tam, gdzie się wychowała, kobiety trzymały biżuterię pod łóżkiem, nie zakładały jej, a już z pewnością nie na beztydzień. Zaczynała rozumieć, do kogo trafiła, choć nie rozumiała niczego, co mówiły do niej kobiety, bo robiły to tylko po niemiecku.

*

Zanim słońce wzeszło na tyle, by dobrze było widać ich popuchnięte twarze, szli w stronę głównego deptaku miasta. Wiedzieli, dokąd się kierować. Szli w milczeniu każdego szesnastego dnia miesiąca. Choć po dawnym iluzjonie nie było już śladu od lat, w ich głowach tliły się obrazy i wspomnienia z dzieciństwa, gdy Pani dobrodziejka zabierała dziewczyny ze stancji na projekcję, a im pozwalała wchodzić kilka minut później i siadać w oddalonym rzędzie, ale kupowała bilety i dla nich, zostawiając je na półce kasy biletowej. Pani Sikora kładła kupony, a potem delikatnie odwracała głowę, opuszczając ją na lewym ramieniu, by wskazać, że wszystko gotowe, tak jak zwykle.

W tych chłopcach nie było jeszcze nic z tych zaczerwienionych pysków. Nikomu nie przyszłoby wtedy do głowy, że tak okrutnie wdadzą się w ojców. Kiedy zaglądali przez okna iluzjonu, wiele było w nich z łagodności. Brzoskwiniowe twarze pokryte cynamonowymi plamkami na nosie i licach. Pani Sikora znała ich z widzenia. Nie raz przychodzili do niej pod okno, z początku, by postrzelać kasztami w futryny, ale z czasem grzecznie kłaniali się na jej widok, pomagali nieść zakupy, pytali, jak mogą pomóc. Ona wiedziała, co dzieje się w ich domach. Przykrótkie nogawki odkrywały łydki pokryte delikatnymi strużkami zadrapań, a skóra w odcieniu śliwek zdradzała, że w domu, choć się nie przelewało, to stać było ojca na dobry pas.

Pani Sikora mówiła chłopcom, że zaprosi i na film, obiadem poczęstuje i landrynkę wyciągnie z torebki, byleby nie zbliżali się do panien ze stancji, byleby nie bałamucili ich po zmroku, bo śmiertelnie się obrazi i już ręki pomocnej nie poda. Pannom zaś nie mówiła za wiele. Nie można powiedzieć, że bały się swojej opiekunki. Ale będąc w jej towarzystwie, czuło się pewną estymę, pewien czar, ale i powagę sytuacji. Jeśli zatem ona mówiła, że nie można z chłopcami gadać to nie i kropka. Chyba że akurat przypadkiem~~,~~ spotkało się ich na Krakowskiej.

*

Co jakiś czas po szkole Pani Sikora mówiła do Isi, że ma przynieść rolki i grube. Dziewczyna wyciągała wtedy wałki do włosów z łazienki, a z torby powieszonej na wieszaku w przedpokoju wyciągała paczkę Partagasów. Pani Sikora siadała wtedy na krześle w dużym pokoju, stopy wkładając do miski z ciepłą wodą. Isia z kolei montowała na jej głowie kilka, kilkanaście wałków. Z początku wcale jej to nie wychodziło, ale opiekunka nigdy się nie irytowała, tylko tłumaczyła ruchy. W międzyczasie, niby mimochodem, mówiła Isi o tych dniach, o specjalnych pasach na brzuch i podpaskach. Tłumaczyła też, jak pozbyć się bólu brzucha. Zresztą to Sikorowa wyleczyła Isi pęcherz. Jakoś w drugiej połowie września nastolatkę złapało tak, że ani siedzieć, ani leżeć. Pani Sikora zagotowała wtedy cztery wielkie gary wody i zalała Isię pod sam nos w wannie. Kazała tak leżeć z dobre dziesięć minut, choć paliło, ale z następną dekadę Isia miała ze wszystkim spokój. A w rodzinnym domu raczej nikt nie mówił o takich sprawach. Kiedyś Staszek, młodszy brat, znalazł w jej biblioteczce encyklopedię, tłumaczącą wiele spraw, także tych poświęconych dziewczynom. Isia nakryła go i tak strasznie się zawstydziła, że uznała, że targnie się na życie, że je sobie odbierze. No ale ani się nie targnęła, ani nie odebrała, jak zapowiadała. Na szczęście.

Wałki zapowiadały, że zjawi się Pan Koszewski. Wysoki, niezbyt przystojny, ale z pięknie ułożoną grzywą i idealnie przyciętym wąsem. Wałki były znakiem, że tego dnia trzeba siedzieć w pokoju i być raczej cicho. Nigdy nie zapowiadała go Pani Sikora, nie tłumaczyła, kim jest. Tylko ten rytuał po szkole i smak belgijskich czekoladek oraz miętowej herbaty. Pan Koszewski przywoził ze sobą prezenty, które gospodyni rozdzielała między siebie i Isię. W dni, gdy wizytował, zasady nie miały znaczenia~~e~~, a słodycze można było jeść po umyciu zębów, w dodatku w łóżku. Isia chichotała, słysząc, jak sędziwy brunet komplementuje ubiór Sikorowej, a ona karcąco odpowiada, by patrzał lepiej w talerz. Nie było w Isi ani trochę zazdrości, tylko podekscytowanie, podświadome życzenie, by Pani Sikora dostała to, co dała jej. Isia w pierwszym liście do rodziców napisała, że Pani Gospodyni jest dla niej dobra. Mówiła tak

zresztą przez całe życie, że smaku miętowej herbaty i takiej dobroci już nigdy później nie zaznała.

Jakoś w listopadzie Pani Sikora poprosiła o wałki. Potem umalowała usta szminką, a na szyi zawiesiła złoty wisiorek z Maryjką i Jezusem. Isia wiedziała, kto je odwiedzi, jednakże Pan Koszowski nie zjawił się na ulicy Miarki. Pani Sikora powiedziała, że wychodzi, ale niebawem wróci. Po godzinie zapukała do drzwi Isi i poprosiła ją do dużego pokoju.

- Zrobiłam zdjęcie na pomnik. Takie, które podoba się mi za życia, więc nie przyniesie wstydu po śmierci – oznajmiła Sikora – nie myśl, że zwariowałam Isiu, kiedyś przyjdzie moment, że zrozumiesz.

- Ale co ja mam z tym zrobić – zapytała zupełnie zaskoczona dziewczyna.

- Jedno do ramki w dużym pokoju, mniejsza odbitka dla Ciebie. Coś dostaną siostry, Jacenty Koszowski, chłopcy z sinymi kolanami. No i to na grób wkładam za witrynkę. Pamiętaj Isiu, jak to się stanie, tylko Ty będziesz wiedziała.

Pani Sikora nie doczekała Bożego Narodzenia. Odeszła któregoś poranka, akurat, gdy koty rozciągały zaspane kręgi na ulicy Miarki. Tego dnia Isia nie zastała ani śniadania, ani miętowej herbaty przed wyjściem do szkoły. Pani Sikora leżała w swoim łóżku, jakby spała, jakby śniła o jeszcze jednym spacerze po Krakauernstrasse. Na jej ostudzone ciało, zza witrynki spoglądała promienna i niemająca nic wspólnego z oziębłością kobieta o ustach w odcieniu burgundu i włosach zakręconych na wałki. Na pogrzebie syn oznajmił, że matka chorowała ostatnie pół roku. Nowotwór złośliwy. Prosiła, by jej nie odwiedzać, by dać jej zapomnieć i odejść. Nagrobek przyozdobiło zdjęcie wykonane przez Pana Melcera kilka tygodni wcześniej.

*

Po tym, jak zwracali się w stronę dawnego kina, szli pod górę, w stronę płyty rynku i zawsze kierowali wzrok w stronę fotograficznego atelier. Tam po lewej stronie na ścianie od lat wisiał ten jeden, bardzo wyjątkowy portret. Nikt nie przypuszczał, że zostanie w studiu na siedemdziesiąt lat. Ci, którzy wiedzieli, że w środku zerka na nich najpiękniejsza kobieta w mieście, opowiadali przechodniom i wnukom, że wodzi wzrokiem za przechodniami. Ci, o gębach sinych i Isia, będąca teraz już o wiele starsza niż kobieta ze zdjęcia, rzucali jej w przelocie urocze uśmiechy. Tak jakby w tamtej chwili mieli znów kilkanaście lat, jakby znów liczyli na to, że uda im się spotkać tę kobietę na jakiejkolwiek ulicy w tym mieście.

*

Isia nie wróciła po Nowym Roku do szkoły, w końcu w bursie nie było dla niej miejsca. Kilka lat spędziła w rodzinnym domu, potem zamieszkała w Legnicy u męża, a później wspólnie z Frankiem dostali w przydziale mieszkanie w Miasteczku Śląskim. Do teraz raz w miesiącu spaceruje ulicą Krakowską, spogląda w witryny, a czasem sznuruje swoje buty, łudząc~~,~~ się, że gdy podniesie wzrok, to znów ją zobaczy.